

Granica

Romans psychologiczny — szkic

Rozdział 1

Dzień zaczął się normalnie. To znaczy tak normalnie, jak potrafią zaczynać się dni, które później okazują się czymś innym, niż miały być.

Wstałem bez pośpiechu. Kawa. Ta sama filiżanka. Telefon leżał ekranem do dołu. Zostawiłem go tak specjalnie. Od kilku dni robiłem ten sam numer. Jakby odwrócony ekran mógł coś zmienić.

Nie zmieniał.

W mieszkaniu było cicho. Nie ta cisza, która przeszkadza. Raczej taka, do której można się przyzwyczaić. Nawet ją polubić. Znasz każdy dźwięk. Wiesz, kiedy lodówka kliknie. Wiesz, jak skrzypią podłoga przy oknie. Nic cię nie zaskakuje.

Poza tym, że ktoś się nie odzywa.

Nie było między nami żadnej kłótni. To ważne. Ludzie zawsze zakładają, że musiało dojść do jakiegoś spięcia. Jakby cisza potrzebowała pretekstu. A ona czasem po prostu przychodzi. Siada. I zostaje.

Jeszcze kilka dni wcześniej pisaliśmy normalnie. Bez fajerwerków, ale też bez chłodu. Zwykłe zdania. Pytania. Odpowiedzi. Rzeczy, które mają sens tylko wtedy, gdy ktoś po drugiej stronie faktycznie czyta.

Potem rytm się zmienił. Najpierw delikatnie. Dłuższa przerwa. Jedno słowo mniej. Zauważa się to od razu, jeśli się uważa. Ja uważam.

Nie napisałem. To nie była gra. Po prostu chciałem zobaczyć, czy cisza ma kierunek, czy jest przypadkowa. Czasem wystarczy przestać robić krok, żeby zobaczyć, czy druga osoba też stoi.

Stałem.

Telefon w końcu wziąłem do ręki. Odruchowo. Jakby coś miało się tam wydarzyć bez mojego udziału. Ekran zapalił się szybko. Za szybko. Zero nowych powiadomień.

Odłożyłem go z powrotem. Tym razem ekranem do góry. Bez sensu. Wiem.

Nie czułem złości. To przyszłoby łatwiej. Złość ma kształt. Można ją nazwać. Wskazać winnego. Tutaj było coś innego. Puste miejsce po rozmowie, która jeszcze niedawno istniała.

Najgorsze w takich sytuacjach nie jest to, że ktoś znika. Najgorsze jest to, że przez chwilę zaczynasz podważać własną pamięć. Zastanawiasz się, czy coś sobie dopowiedziałeś. Czy ton był naprawdę taki, jak ci się wydawało. Czy te zdania znaczyły cokolwiek więcej niż uprzejmość.

Nie lubię tego stanu. Jest nieuczciwy. Bo nie walczysz z kimś. Walczysz z własną głową.

Wyszedłem z domu. Bez konkretnego celu. Spacer pomaga mi myśleć, ale nie w ten sposób, że znajduję odpowiedzi. Raczej porządkuje pytania. A tych było sporo.

Czy powinienem napisać pierwszy?

Czy cisza to sygnał, czy brak sygnału?

I najgorsze: czy to, co było, było tylko po mojej stronie?

Nie szukałem dramatów. Nie potrzebowałem wyjaśnień na trzy strony. Wystarczyłoby jedno zdanie. Cokolwiek, co zamyka temat albo go otwiera. Brak odpowiedzi nie robi ani jednego, ani drugiego.

Zatrzymałem się przy przejściu dla pieszych. Światło było czerwone. Stałem tam dłużej, niż było trzeba. Zauważylem, że ludzie obok sprawdzają telefony. Każdy swój. Każdy w swoim tempie. Nikt na nikogo nie patrzył.

Pomyślałem wtedy, że to w sumie zabawne. Technicznie jesteśmy dostępni cały czas. A mimo to coraz częściej znikamy bez słowa.

Nie miałem zamiaru nikogo ścigać. Nigdy tego nie robiłem. Jeśli ktoś chce odejść, niech odejdzie. Tylko niech nie udaje, że nic się nie wydarzyło. Bo wydarzyło się coś bardzo konkretnego. Była obecność. A potem jej nie było.

I to jest różnica, której nie da się zagadać.

Ruszyłem, gdy zapaliło się zielone. Telefon zawibrował w kieszeni. Przez ułamek sekundy pomyślałem, że to ona. Serce zareagowało szybciej niż rozsądek.

To była aplikacja bankowa.

Uśmiechnąłem się krótko. Bardziej do siebie niż do sytuacji. I wtedy dotarło do mnie coś prostego. Jeśli mam na coś czekać, to nie na wiadomość. Na jasność. Nawet jeśli miałaby zaboleć.

Reszta to tylko hałas.

Rozdział II

Samotność jako rozwiązanie

Z czasem przestałem wierzyć, że wszystko dzieje się po coś.

Nie był to żaden bunt ani dramatyczne olśnienie. Raczej cicha decyzja, która zapada wtedy, gdy człowiek już kilka razy próbował i kilka razy wyszło tak samo.

Najpierw pojawia się myśl, że to pech.

Potem, że może zły moment.

Na końcu zostaje wniosek, że niektóre rzeczy po prostu się nie składają.

Przez lata zbierały się doświadczenia, które miały wspólny finał. Zawsze zaczynało się podobnie. Nadzieja. Krótkie zawieszenie. Poczucie, że tym razem może być inaczej. A potem wszystko wracało do punktu wyjścia.

Bez awantur.

Bez wielkich słów.

Po prostu cicho się rozsypywało.

Samotność zaczęła wyglądać jak sensowne rozwiązanie.

Nie idealne. Ale skuteczne.

Jeśli nie wchodzisz w relacje, nikt nie ma czego psuć.

Jeśli niczego nie oczekujesz, nie ma rozczarowania.

To nie była rezygnacja z życia. Raczej zmiana strategii.

Minimalizacja strat.

Da się do tego przywyknąć.

Najpierw jest dziwnie. Potem pusto.

A później ta pustka staje się czymś znanym. Nawet wygodnym.

Uczysz się swoich dni.

Uczysz się wieczorów.

Uczysz się ciszy.

Znasz rytm mieszkania. Wiesz, kiedy coś skrzypnie. Kiedy zapali się światło u sąsiada. Nic cię nie zaskakuje. I właśnie o to chodzi.

Myślałem, że mam to pod kontrolą.

Praca. Obowiązki. Zwykłe sprawy.

Głowa była czymś zajęta, więc emocje schodziły na dalszy plan.

Ale to była tylko połowa prawdy.

Samotność nie znika.

Ona tylko się odsuwa, kiedy jest głośno.

Wraca, gdy robi się cicho.

Wychodzi w najmniej oczekiwanych momentach.

W autobusie, kiedy wszyscy patrzą w telefony.

W sklepie, gdy стоisz w kolejce i nagle uświadamiasz sobie, że nigdzie się nie spieszysz.

Z czasem świat stracił kolory.

Nie stał się smutny. Stał się obojętny.

Jakby ktoś zdjął nasycenie.

Nie było radości.

Nie było też rozpaczliwego.

Była poprawność.

Przestałem się łudzić, że kiedyś „będzie dobrze”.

Nie dlatego, że przestałem wierzyć w ludzi.

Po prostu przestałem składać sobie obietnice, których nie byłem w stanie dotrzymać.

I wtedy pojawiła się ona.

Nie jak wybawienie.

Nie jak cud.

Raczej jak coś, co naruszyło układ, który wydawał się już zamknięty.

Rozdział III–Bycie obok.

Nie była sama.

To była pierwsza rzecz, którą zrozumiałem.

I pierwsza, którą zignorowałem.

Z zewnątrz wszystko wyglądało poprawnie. Związek. Dom. Dzieci. Normalne życie. Takie, które nie wzbudza pytań. Takie, obok którego się przechodzi.

Ale jeśli ktoś patrzył uważnie, widział więcej.

Ja patrzyłem.

Widziałem napięcie.

Zmęczenie, które nie mija po weekendzie.

Ten rodzaj ciszy, który nie uspokaja, tylko ostrzega.

Jej oczy mówiły więcej niż słowa.

Nie krzyczały.

One były zmęczone.

Zbliżyliśmy się w sposób, którego nie planowałem.

Straciłem mieszkanie. Ona była sąsiadką.

Ona i jej partner zaproponowali, żebym na jakiś czas u nich zamieszkał.

To powinno było mnie zatrzymać.

Każdy rozsądny człowiek by się wycofał.

Nie zrobiłem tego.

Czułem, że to moment, który może coś zmienić.

Nie w sposób nagły.

Raczej powoli. Od środka.

Byłem obok.

Nie narzucałem się.

Nie mówiłem za dużo.

Obserwowałem. Pomagałem. Byłem dostępny.

Tak po prostu.

Najlepsze chwile zdarzały się, gdy on wyjeżdżała.

Delegacje. Kilka dni spokoju.

Wtedy dom wyglądał inaczej.

Oddychał.

Ona się śmiała.

Dzieci były lżejsze.

Nie było napięcia wiszącego w powietrzu.

Te dni nie były wyjątkowe.

I właśnie dlatego były dobre.

Gdy wracała, wszystko się zmieniało.

Atmosfera gęstniała. Każde słowo mogło być problemem.

Widziałem, jak ją łamie. Bez pośpiechu. Metodycznie.

Nie musiał krzyczeć.

Wystarczała obecność.

Czasem płakała w moich ramionach.

I wtedy byłem pewien, że to się w końcu skończy.

Że odejdzie. Że wybierze siebie.

Że wybierze mnie.

Ten moment nigdy nie nadchodził.

Z czasem zacząłem rozumieć swoją rolę.

Nie byłem partnerem.

Nie byłem nawet opcją.

Byłem kimś do pocieszania.

Kimś do bycia miłym.

Kimś do zabawiania dzieci, kiedy było ciężko.

Bezpieczny.

Wygodny.

Tymczasowy.

Trwałem w tym układzie rok.

Rok nadziei, która nie miała prawa się spełnić.

Byłem elementem chorej konstrukcji.

I choć widziałem to coraz wyraźniej, nadal zostawałem.
To był moment, w którym powiniensem był odejść.
Ale jeszcze nie byłem na to gotowy.
Jeszcze wierzyłem, że bycie obok kiedyś wystarczy.

Rozdział IV-Nie szukałem.

Wyjechałem, bo musiałem przestać myśleć.
Nie było w tym romantyzmu. Praca za granicą nie leczy ran. Ona tylko zajmuje ręce i głowę na tyle, żeby nie rozsypać się na kawałki.
Pierwsze tygodnie były ciężkie. Nowe miejsce. Obcy ludzie. Inny język.
Wieczorami zmęczenie było tak duże, że zasypiałem od razu. To pomagało. Sen był jedynym momentem, kiedy nic nie czułem.
Potem wszedł rytm.
Praca. Powrót. Jedzenie. Sen.
Bez historii. Bez oczekiwania.
Bolało, ale wytrwałem.
Nie dlatego, że byłem silny.
Po prostu nie widziałem alternatywy.
Z czasem życie zaczęło się układać. W sposób prosty, techniczny.
Pieniądze przestały być problemem. Głowa była spokojniejsza. Nie musiałem już walczyć o każdy dzień.
I wtedy podjąłem decyzję, która wydawała się rozsądna.
Nie będę nikogo szukał.
Nie będę niczego prowokował.
Jeśli coś ma się wydarzyć, wydarzy się samo.
Nie była to żadna filozofia. Raczej zmęczenie.
I właśnie wtedy ona pojawiła się nagle.
Nie planowałem tego.
Nie budowałem napięcia.
Nie było długich rozmów ani przygotowań.
Była chemia. Od pierwszych sekund.
Tak prosta i oczywista, że aż niewygodna.
Wylądowaliśmy w łóżku bez obietnic. Bez przyszłości.
Rano wyszedłem, nie biorąc numeru. Nawet o nim nie pomyślałem.

A potem siedziała mi w głowie.
Nie w sposób nachalny.
Raczej jak myśl, która wraca, kiedy nie ma już innych.
Przez przypadek trafiłem na kogoś innego. Ta sama energia. To samo imię.
Zaczęliśmy pisać. Było lekko. Było normalnie. Bez ciężaru.
I wtedy spotkałem tą pierwszą. Tę właściwą.
Od tamtej chwili wszystko zaczęło się działać szybko, ale spokojnie.
Nie było wielkich deklaracji. Było bycie razem.
Codzienność.
Spacery. Zakupy. Wieczory. Rozmowy, które nie musiały do niczego prowadzić.
Spanie obok siebie, bez napięcia.
Jej dzieci szybko mnie zaakceptowały.
To zawsze przychodziło mi naturalnie.
Nie udawałem. Nie grałem roli.
Mijały miesiące. Dziewięć, jeśli liczyć dokładnie.
Z zewnątrz wyglądało to jak związek.
Od środka też.
I właśnie to zaczęło mnie niepokoić.

Rozdział V

Bez nazwy (wersja rozszerzona)
Nie było jednej chwili, w której coś się popsuło.
Nie było zdania, po którym można by powiedzieć: „od tego momentu wszystko poszło źle”.
To działało się wolniej.
Najpierw pojawiło się pytanie.
Ciche. Niewygodne. Takie, które wraca wieczorem, gdy rozmowa już się skończyła, a światło zostało zgaszone.
Dlaczego to nie ma nazwy?
Nie chodziło o słowo.
Nigdy nie byłem przywiązanym do etykiet.
Chodziło o to, że wszystko, co robiliśmy, było „jak”, ale nigdy „na pewno”.
Z zewnątrz wyglądało to normalnie.
Razem każdego dnia.

Wspólne sprawy. Plany na jutro, choć nigdy dalej.

Byłem obecny.

Nie na pół gwizdka.

Nie wtedy, kiedy było wygodnie.

Brałem odpowiedzialność. Za siebie. Za sytuacje. Za napięcia, które czasem się pojawiały.

Nie uciekałem.

A mimo to coś wisiało w powietrzu.

Nie umiałem tego nazwać, ale czułem, że to coś ważnego.

Zacząłem zwracać uwagę na drobiazgi.

Na to, jak unikała pewnych tematów.

Jak szybko potrafiła zmienić rozmowę, gdy pojawiało się „dalej”.

Nie robiła tego agresywnie.

Raczej delikatnie.

Tak, żeby nie było się do czego przyczepić.

Czekałem. Długo.

Bo wierzyłem, że niektóre rzeczy muszą dojrzeć same.

Ale czas mijał.

Dziewięć miesięcy to wystarczająco długo, żeby przestać udawać, że nic się nie dzieje.

Zacząłem się zastanawiać, czy problem nie leży we mnie.

Czy nie oczekuję za dużo.

Czy nie próbuję zamknąć czegoś, co ma pozostać otwarte.

To była najgorsza część.

Ten moment, w którym zaczynasz negocjować z samym sobą.

W końcu powiedziałem to wprost.

Bez patosu. Bez przygotowanego monologu.

Powiedziałem, że jestem zakochany.

Nie dlatego, że oczekiwaliem odpowiedzi.

Po prostu nie chciałem już dłużej milczeć.

Świat zmienił się natychmiast.

Nie było krzyku.

Nie było nerwowych ruchów.

Był spokój, który zabolał bardziej niż złość.

„Nie.”

„To nie wyjdzie.”

„Wiem, jaka jestem.”

Te zdania padły szybko. Jakby były gotowe od dawna.

Nie próbowałem jej przekonywać.

Nie pytałem „dlaczego”.

Nie szukałem wyjaśnień, które i tak nic by nie zmieniły.

Zrozumiałem jedno.

Dla niej to było jasne od dawna.

Dla mnie dopiero teraz.

Wycofałem się.

Nie w sposób demonstracyjny.

Nie z obrażoną dumą.

Po prostu przestałem być obecny.

Nie dzwoniłem.

Nie inicjowałem spotkań.

Nie łatałem ciszy.

I wtedy zaczęło się sypać wszystko inne.

Najpierw drobiazgi.

Brak koncentracji. Złe decyzje.

Poczucie, że robię rzeczy mechanicznie, bez udziału głowy.

Potem przyszły większe konsekwencje.

Straciłem pracę.

Później mieszkanie.

Ale to nie było najgorsze.

Najgorsze było to, że zniknęły emocje.

Nie było smutku.

Nie było żalu.

Nie było nawet wściekłości.

Była pustka.

Jakby ktoś odłączył zasilanie.

Funkcjonowałem. Jadłem. Spałem. Przemieszczałem się.

Ale nic do mnie nie dochodziło.

Samotność wróciła.

Tylko że tym razem nie bolała.

Była martwa.

Zrozumiałem wtedy coś, czego wcześniej nie chciałem przyjąć.

Nie każda strata uczy.

Nie każda relacja coś buduje.

Niektóre po prostu zabierają kawałek ciebie.

I odchodzą.

Wiedziałem jedno.

To, kim byłem przed tym wszystkim, już nie wróci.

I to była najbardziej niepokojąca myśl, z jaką zostałem sam.

Rozdział VI

Po wszystkim

Po tym wszystkim zostałem sam.

Nie w sposób dramatyczny. Bez scen. Bez wielkich słów.

Po prostu wróciłem do życia, które nie wymagało ode mnie emocji.

Dni były podobne do siebie.

Wstawałem. Robiłem to, co trzeba. Wracałem.

Wieczorem zapalałem światło tylko w jednym pokoju.

Nie dlatego, że było taniej.

Po prostu reszta przestrzeni nie była mi potrzebna.

Nie myślałem już o niej.

A przynajmniej tak sobie mówiłem.

Prawda była prostsza.

Myśli przychodziły same, ale nie miały już tej siły.

Były jak dźwięk w tle, który przestajesz zauważać.

Nie szukałem nikogo.

Nie dlatego, że byłem wierny przeszłości.

Po prostu nie chciałem znowu dochodzić do momentu, w którym trzeba coś nazwać.

Nazwy komplikują.

Wymagają decyzji.

A ja byłem zmęczony decyzjami.

Ludzie pytali, czy wszystko w porządku.
Odpowiadałem, że tak.
I w pewnym sensie nie kłamałem.
Nie cierpiałem.
Nie teskniłem w sposób, który wykręca wnętrzności.
Czułem się odłączony.
Jakby ktoś ściszył dźwięk w środku.
Zauważałem, że coraz rzadziej się śmieję.
Nie dlatego, że było mi źle.
Po prostu nie widziałem powodu.
Przestałem reagować na drobiazgi.
Na czyjś dotyk.
Na spojrzenia, które kiedyś coś by znaczyły.
To było wygodne.
Bezpieczne.
Nie było ryzyka.
Nie było oczekiwania.
Nie było rozczarowań.
Samotność wróciła, ale już nie jako problem.
Raczej jako stan domyślny.
Czasem wieczorem siadałem i myślałem, że to chyba o to chodziło.
Że w końcu znalazłem sposób, żeby nie bolało.
Tylko że brak bólu to nie to samo co spokój.
Zrozumiałem to dopiero później.
Pewnego dnia ktoś zapytał mnie o coś zupełnie zwykłego.
O drogę. O godzinę. O cokolwiek.
Odpowiedziałem mechanicznie.
I zobaczyłem w jej oczach coś, co mnie zaskoczyło.
Nie zainteresowanie.
Nie flirt.
Uważność.
To było dziwne uczucie.
Nieprzyjemne.
Jakby ktoś zatrzaśnął tam, gdzie dawno nikogo nie wpuszczałem.

Nie wróciło nic od razu.

Żadna fala. Żaden impuls.

Ale pojawiła się rysa.

Mała. Prawie niezauważalna.

W tym idealnie gładkim, martwym spokoju.

Zacząłem się łapać na tym, że znów coś rejestruję.

Ton głosu.

Gesty.

Pauzy między słowami.

Nie chciałem tego.

Naprawdę.

Bo wiedziałem, dokąd to prowadzi.

Do myślenia.

Do pytań.

Do możliwości.

A ja nie byłem pewien, czy jeszcze potrafię.

Tamtej nocy długo nie mogłem zasnąć.

Nie dlatego, że byłem podekscytowany.

Raczej zaniepokojony.

Pomyślałem, że najbezpieczniej byłoby to zignorować.

Jak wszystko inne.

Odwrócić się.

Zamknąć temat, zanim się otworzy.

Ale gdzieś głęboko pojawiła się myśl, której nie mogłem już cofnąć.

Cicha. Uparta.

Mожет nie chodzi o to, żeby znowu wierzyć.

Mожет chodzi tylko o to, żeby nie uciekać od razu.

I to była pierwsza myśl od bardzo dawna,

która nie brzmiała jak obrona.

Rozdział VII-Ona

Nie pojawiła się jako wydarzenie.

Nie było żadnego „teraz”.

Po prostu zaczęła być.
Spotykaliśmy się przypadkiem. Kilka razy. W tych samych miejscach.
Najpierw parę zdań. Potem trochę dłużej.
Nie pytała o przeszłość.
Nie sprawdzała mnie.
Nie próbowała się zbliżyć szybciej, niż to było naturalne.
To mnie wybijało z rytmu.
Byłem przyzwyczajony, że ludzie chcą wiedzieć. Kim jestem. Skąd. Dlaczego sam.
Ona tego nie robiła.
Kiedy milczałem, nie ratowała ciszy.
Nie zagadywała.
Nie robiła nic, żeby było lżej.
Siedzieliśmy czasem naprzeciwko siebie i to wystarczało.
Nie było flirtu.
Nie było napięcia.
Nie było tej gry, w której każdy coś udaje.
I właśnie to zaczęło mi przeszkadzać.
Złapałem się na tym, że czekam na te spotkania.
Nie jak kiedyś. Bez emocjonalnego rozprędu.
Raczej z myślą: „tam nic ode mnie nie chcą”.
Raz zaproponowała kawę.
Bez podtekstu. Bez planu.
Poszedłem.
Nie dlatego, że chciałem.
Po prostu nie widziałem powodu, żeby nie iść.
Rozmawialiśmy długo. O zwykłych rzeczach.
Bez zwierzeń. Bez deklaracji.
Wyszedłem spokojny.
To było podejrzane.
Zacząłem się wycofywać.
Nie odbierałem od razu.
Nie inicjowałem spotkań.
Sprawdzałem, czy zniknie.
Nie zniknęła.

Nie pytała, co się dzieje.
Nie robiła scen.
Nie próbowała mnie przyciągnąć.
Była dokładnie taka sama jak wcześniej.
To mnie zirytowało.
Bo jeśli ktoś nie reaguje na twoje cofanie się,
to znaczy, że nie trzyma cię strachem.
A ja znałem tylko takie układy.
Pomyślałem, że to się zaraz skończy.
Że w końcu padnie pytanie.
Że trzeba będzie coś nazwać.
Nie padło.
I wtedy dotarło do mnie coś niewygodnego.
To nie ona czekała.
To ja czekałem.

Rozdział VIII

Granica

Nie od razu zrozumiałem, że coś się zmienia.
To nie był gest ani zdanie. Raczej drobne przesunięcie, które czuje się wcześniej niż potrafi nazwać.
Zacząłem być bardziej obecny, choć sam przed sobą udawałem, że to przypadek.
Słuchałem uważniej.
Zostawałem chwilę dłużej.
Patrzyłem, zamiast zerkać.
I jednocześnie cały czas trzymałem rękę na klamce.
Chciałem bliskości, ale tylko do pewnego miejsca.
Chciałem czuć, ale bez ryzyka.
Chciałem być, ale nie zostać.
To było męczące.
Z jednej strony pojawiała się myśl, że przy niej jest inaczej.
Że nie muszę się pilnować.
Że niczego nie udowadniam.

Z drugiej – strach.

Nie przed nią.

Przed sobą.

Bo wiedziałem, jak to się kończy.

Zawsze wiedziałem.

Któregoś dnia powiedziała coś prostego. Bez napięcia.

Nie był to żaden zarzut. Raczej stwierdzenie.

Że czuje, że jestem blisko i daleko jednocześnie.

To zdanie trafiło dokładnie tam, gdzie bolało.

Nie zaprzeczyłem.

Nie potrafiłem.

Powiedziała, że to w porządku, jeśli tak jest.

Ale nie chce w tym tkwić bez końca.

Nie było ultimatum.

Nie było presji.

Była granica.

I to mnie rozbiło bardziej niż jakiekolwiek „albo-albo”.

Bo nie próbowała mnie zatrzymać.

Nie walczyła.

Nie grała emocjami.

Zostawiła decyzję po mojej stronie.

Zostałem z tym sam.

Z uczuciem, którego nie znałem od dawna.

Nie strachem.

Odpowiedzialnością.

Wróciłem do domu i długo siedziałem w ciszy.

Nie tej wygodnej.

Tej, która zmusza do myślenia.

Zrozumiałem wtedy, że całe moje wycofanie nie było ostrożnością.

Było ucieczką.

Nie przed nią.

Przed możliwością, że znów coś poczuję.

Była we mnie sprzeczność, która rozrywała od środka.

Chciałem ją przy sobie.

I jednocześnie bałem się, że jeśli pozwolę sobie na to naprawdę, znowu coś stracę.

Pierwszy raz od dawna nie wiedziałem, co zrobić.

I nie mogłem tego zrzucić na nikogo innego.

To była moja decyzja.

Albo zostanę w tym, jaki jestem.

Albo zaryzykuję zmianę.

I wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że może nie chodzi o to, żeby być gotowym.

Mожет wystarczy przestać uciekać.

Ta myśl nie dała mi spokoju całą noc.

Rozdział IX

Zostać

Spotkaliśmy się jeszcze raz.

Bez ustaleń. Bez planu.

Nie przygotowywałem się do tej rozmowy.

Wiedziałem, że jeśli zacznę układać zdania w głowie, to w końcu z niej ucieknę.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

Czułem napięcie, ale inne niż wcześniej.

Nie takie, które paraliżuje.

Raczej takie, które zmusza do uczciwości.

Powiedziałem, że nie jestem prosty w relacjach.

Że mam w sobie więcej wycofania niż bym chciał.

Że czasem znikam, bo tak jest łatwiej niż zostać.

Nie tłumaczyłem się.

Nie opowiadałem historii.

Nie próbowałem niczego sprzedawać.

Po prostu powiedziałem, jak jest.

Słuchała.

Nie przerywała.

Nie poprawiała mnie.

Kiedy skończyłem, nie odpowiedziała od razu.

I tym razem cisza mnie nie przestraszyła.

Powiedziała, że nie potrzebuje obietnic.

Że nie szuka kogoś, kto będzie idealny.

Ale nie chce być z kimś, kto cały czas stoi w drzwiach.

To było uczciwe.

I wystarczające.

Nie padło żadne wielkie zdanie.

Nie było deklaracji na przyszłość.

Było jedno pytanie.

Czy potrafię zostać, nawet jeśli nie mam pewności.

Nie odpowiedziałem od razu.

Bo pierwszy raz nie chodziło o nią.

Chodziło o to, czy dalej chcę żyć w trybie ochronnym.

Czy wolę zaryzykować coś, co może się nie udać,

niż wrócić do bezpiecznej pustki.

Powiedziałem, że spróbuję.

Nie „obiecuję”.

Nie „na zawsze”.

Spróbuję zostać.

I w tym momencie poczułem coś, czego nie czułem od dawna.

Nie euforię.

Nie ulgę.

Spokój, który nie był pusty.

Epilog

Nie wiem, jak potoczy się ta historia.

I to jest w porządku.

Wiem tylko, że przestałem uciekać przy pierwszym napięciu.

Że nie znikam, kiedy robi się niewygodnie.

Że daję sobie i komuś innemu szansę, nawet jeśli nie mam gwarancji.

To nie jest opowieść o szczęśliwym zakończeniu.

To jest opowieść o momencie, w którym człowiek przestaje się chronić za wszelką cenę.

Czasem to wystarczy.

Nie żeby było idealnie.

Żeby było prawdziwie.

I jeśli czegoś się nauczyłem, to tego, że samotność może chronić przed bólem.

Ale nigdy nie da tego, co daje obecność.

Reszta wydarzy się albo nie.

Ja już nie uciekam.

I to jest mój wybór.